

# I Kto jest Gucio i dłaczego się nudzi

Gucio H. nic nie brakowało do szczęścia, a jednak, dziwna rzecz, nie był szczęśliwy! Miał ojca zamożnego, cieszącego się powszechnym szacunkiem, matczkę piękną i dobrą jak anioł, siostrzyczkę, nie umiejącą mu nic odmówić, o cokolwiek by ją poprosił. Miał dużo pięknych książek z obrazkami; fuzję, która chociaż nie mogła zabić nikogo, ale gdy na nią nakładał kapiszony, strzelała z wielkim hukiem i dymem; a co najważniejsza, miał ślicznego żywego kucyka maści siwojabłkowitej, którego zazdrościli mu wszyscy chłopcy z sąsiedztwa. Ojciec darował mu nowiutkie angielskie siodło na imieniny, a siostra uszyła własną ręką wspaniałą czerwony czaprak, z cyframi solenizanta na rogach. Miał... ach, i wyliczyć trudno, co miał ten chłopiec, istny pieśczocho losu; a jednak, mimo to wszystko, ładna jego twarzyczka często bywała oszpecona wyrazem znudzenia, a usta o mało się nie rozdarły od ustawicznego ziewania.



Poczawszy od rodziców a skończywszy na służbie, wszyscy mu dogadzali: zaledwie objawił jakieś życzenie, już przemyślivano, jakby je zaspokoić, jakby mu sprawić niespodziankę. Doszło do tego, że nareszcie sam nie wiedział, czego pragnąć, posiadał bowiem wszystko, czego chłopiec w jego wieku mógł potrzebować, a nawet więcej jeszcze.

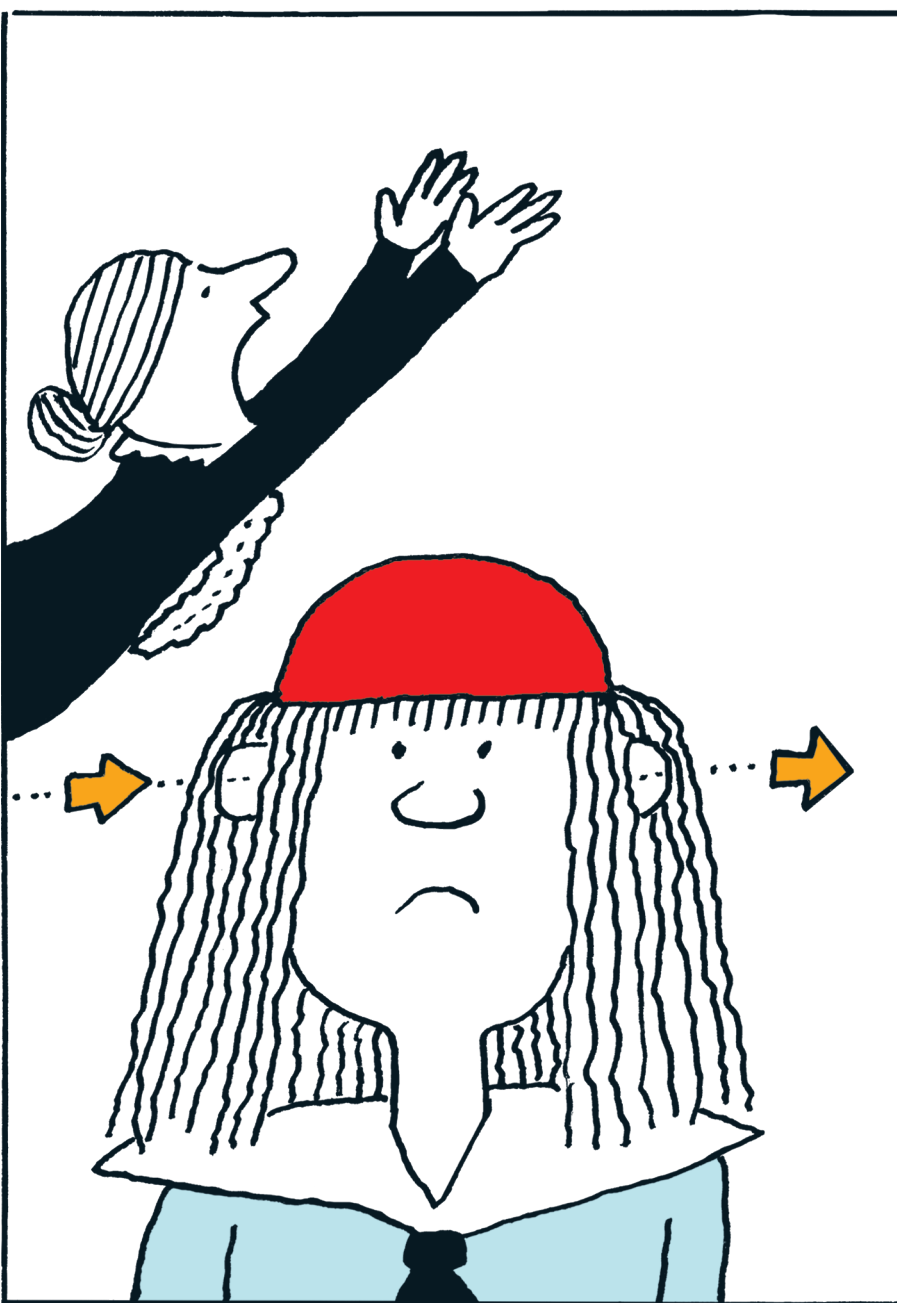
Wrażliwy z natury, każdą niespodziankę przyjmował z objawami szalonej radości — ale trwało to krótko; przestając być nowością, przestawała go jednocześnie zajmować. Książki, choćby najciekawszej, nie przeczytał nigdy całej; zajrzał na początek, na koniec, przeczytał kilka kartek ze środka, pooglądał obrazki i rzucał. Tak było ze wszystkim.

Dlaczego tak było, ja się trochę domyślam: oto dlatego, że Guccio miał wszystkiego zanadto i że nie lubił nic robić. Był próżniaczkiem. Zabawa jest stokroć przyjemniejsza, gdy następuje po pracy — a nasz przyjaciel unikał wszystkiego, co było z trudem połączone.

Niejeden z czytelników pewnie przypisze tego winę państwu H. i zgani ich zbyteczną słabość dla syna. Ale ja, co znam ich od dawna i wiem, że gdy Guccio był jeszcze bardzo mały, stracili dnia jednego od razu dwóch chłopczyków na zaraźliwą chorobę, nie mogli ich potępić za to, że nie umieli zakreślić granic swemu przywiązaniu i troskliwości dla jedynego, jaki im pozostał — zwłaszcza, że wątpła, delikatna budowa chłopca trzymała ich w ciągłej obawie o jego zdrowie.

Zdolności Gucciowi nic brakowało: bystry był, pojętny, ale miał nieprzewyciężony wstręt do nauki, która, jak każda praca, musiała być połączona z pewnym trudem. Bywało na przykład, że panna Anna, nauczycielka, wykląda mu coś i dobiera wyrazów, jak najprzystępniej malujących przedmiot — a on te wyrazy jednym uchem wpuszcza, a drugim





...jednym uchem wpuszcza... (s. 6)



wypuszcza, i tylko myśli o tym, że białe gołębie jego przyjaciela Janka są ładniejsze od jego szarych gołębi, i że musi się z nim pomieniać — albo, jakby też wyglądał jego kucyk, gdyby mu ogon zawinać w papiloty, a na łeb włożyć pastercki kapelusz Helusi. Toteż gdy panna Anna każe mu powtórzyć to, co słyszał, powtarza tylko słowo w słowo, co mu siostra z litości podpowie; albo jeżeli mu przypadkiem tej dobroczynnej pomocy zabraknie, opowiada piąte przez dziesiąte i miesza wszystko razem, niby groch z kapustą.

Panna Anna, osoba bardzo dobra i szczerze do obojga dzieci przywiązana, napominała go łagodnie raz, drugi, trzeci, ale gdy to nie skutkowało, szła do mamy. Guccio kochał swoją mateczkę nad wszystko w świecie, i nie było dla niego sroższej kary, jak widzieć ją zmartwioną — toteż taka narada z panną Anną, odbywająca się przy drzwiach zamkniętych, budziła w nim zwykle wszystkie głosy sumienia. Z bijącym sercem patrzył z drugiego pokoju w te drzwi; a gdy nareszcie otworzyły się — i mama, wezwawszy go do siebie, wyrzucała mu jego niedbalstwo, tak ją przeproszał i całował po rękach, tak płakał, tak gorąco obiecywał poprawę, że dobra mateczka zawsze przebaczyła, uściskała synka, a co najważniejsza, uwierzyła w jego przyrzeczenia.

A jak tu było nie wierzyć, kiedy słowa Gucia tchnęły taką prawdą, a na twarzą malowało się zmartwienie tak głębokie, że aż żal było patrzeć! Czy jednak dotrzymywał tych przyrzeczeń? Niestety! Łatwiej jest obiecać, niż dotrzymać. Miał on dobre serce, kochał rodziców i siostrzyczkę i gotów byłby w każdej chwili skoczyć dla nich w ogień lub wodę, choćby go to życie miało kosztować — tak mu się przynajmniej zdawało — ale... popracować nad czymś, przełamać swoje lenistwo, tego nikt na nim nie wymógł. Może to komu



dziwne się wyda, że ofiara z życia łatwiejsza się zdawała Guciovi, niż na przykład nauczenie się tabliczki mnożenia — a jednak tak było; bo dla poświęcenia życia wystarcza nieraz jedna chwila, a tabliczki mnożenia trzeba się uczyć kilka dni pilnie, z uwagą — na takie zaś bohaterstwo trudno mu się było zdobyć. Miewał on tysiące pięknych zamiarów, silnych postanowień — ale wszystkie, których natychmiast nie można było wykonać, kończyły się na niczym, bo mu brakowało wytrwałości.

Gucio wiedział o tej wadzie swego charakteru i nieraz przy wieczornym pacierzu dawał sobie słowo, że „od jutra rana będzie inny”. Gdy przyszło owo „jutro”, wstawał rano, ubierał się śpiesznie, zasiadał do książki, i żał mi powiedzieć, ale muszę, bo prawda przede wszystkim — zanim nadeszło południe, zaczął zagłuszać w sobie głos sumienia i prosić je o pobłażanie „na dziś tylko jeszcze, bo od jutra niezawodnie już poprawę rozpocznie”.

Po takim oszukaniu samego siebie, uczuwał zawsze trochę wstydu przed sobą, ale uspokajała go myśl, że „jutro z pewnością już będzie inaczej” — i cieszył się zawczasu radością, jaką sprawi matce. Nazajutrz jednak najczęściej znalazła się jakaś przeszkoda, albo goście do niego przyjechali, i poprawa znowu się odkładała. Czasem, jeżeli to był piątek, wybierał na te poprawę poniedziałek, bo, zdaniem jego, w sobotę, jako ostatni dzień tygodnia, zaczynać nie było warto. Tak mijały dni, tygodnie i miesiące...

Ojciec, zajęty od rana do wieczora gospodarstwem, nie mieszał się wprawdzie do nauki syna, ale widział zło i przypisywał je temu, że wychowanie Gucia spoczywało przeważnie w rękach nazbyt łagodnych kobiet, że zaś sam zająć się nim nie miał czasu, więc niejednokrotnie już chciał do



domu sprowadzić jakiegoś zdolnego, wymagającego a energicznego nauczyciela. Ale Gucio, ilekroć kazano mu dłużej siedzieć przy książce, narzekał zaraz na głowę; więc matka, obawiając się, aby nauczyciel nie męczył nadto jej jedynaka, i żeby wskutek tego nie ucierpiało jego zdrowie, wypraszała u męża zwłokę na czas jakiś jeszcze, dopóki Gucio trochę nie podrośnie i nie nabierze zdrowszej cery.

Służba, tak męska, jak i żeńska, bardzo lubiła panicza. Jak go tu nie było lubić, kiedy był dla wszystkich grzeczny, uprzejmy, a przy tym taki miły, taki przylepka! Jak go nie było lubić, kiedy dzielił się ze wszystkimi każdym przysmakiem, otrzymanym od rodziców; a gdy dostał pieniądze od ojca, to póty go one niepokoiły w kieszeni, póki wszystkich nie rozdał! Jak go nie było lubić, kiedy powierzchownością swoją, nad wyraz wdzięczną, pociągał oczy wszystkich! Jego wielkie błękitne oczy pełne były blasku i życia; włosy jasne ze złocistym połyskiem, w gęstych zwojach spadały mu na ramiona, a delikatna, przezroczystej białości twarzyczka przypominała twarze aniołków z obrazów sławnych malarzy.

Gucio nie był dumny ze swej piękności, choć o niej wiedział; przeciwnie, gniewało go to, gdy starsi, unosząc się nad nią, mówili, że wygląda jak panienka — gardził bowiem wszystkim, co było rodzaju żeńskiego, nazywając to „babami”. Jedna tylko mateczka w przekonaniu jego nie była „babą”, ale istotą wyższą nad wszystko; była świętością. Wiele byłby dał za to, żeby mieć cerę ogorzałą jak ojciec, i pod nosem coś na kształt wąsów, ale niestety! To coś nie pokazywało się, chociaż był już przecież mężczyzną, miał ósmy rok!

